



Michael Connelly
– najlepszy z najlepszych!

„PHILADELPHIA INQUIRER”

Czarna skrzynka

MICHAEL
CONNELLY

Żaden zabójca nie może się czuć bezkarnie – nawet
po 20 latach od popełnienia zbrodni! – jeśli
ściga go Harry Bosch...

Trzeciej nocy liczba ofiar śmiertelnych osiągnęła taki poziom i rosła w tak zastraszającym tempie, że funkcjonariuszy z wielu okręgowych wydziałów zabójstw przeniesiono z linii frontu rozruchów do South Central, by pracując w systemie zmianowym, spróbowali opanować kryzys. Detektywa Harry'ego Boscha i jego partnera Jerry'ego Edgara ściągnięto z wydziału Hollywood i wcielono do oddziału lotnego Straży B, dla ochrony przydzielając im dwóch funkcjonariuszy uzbrojonych w strzelby bojowe. Wysyłano ich tam, gdzie akurat byli potrzebni – czyli gdzie pojawiały się kolejne zwłoki. Czteroosobowy zespół poruszał się czarno-białym radiowozem, przenosząc się z jednego miejsca zbrodni na drugie, ale nigdzie nie zagrzewając dłużej miejsca. Nie tak pracowało się w wydziale zabójstw, nie miało to z tym nic wspólnego, jednak nic lepszego nie pozostawało im do roboty w mieście, które stopniowo obracało się w ruinę.

South Central przypominała strefę wojenną. Wszędzie płonęły ogniska. Bandy szabrowników przeskakiwały od jednej wystawy sklepowej do drugiej, a w unoszącym się

nad miastem dymie zniknęły wszelkie pozory godności czy zasad moralnych. Gangi południowego Los Angeles nie próżnowały, próbując przejąć ciemność we władanie... ba, nawet wzywały do rozejmu, zaprzestania bratobójczych walk i stworzenia wspólnego, jednolitego frontu przeciw policji.

Zginęło już ponad pięćdziesiąt osób. Właściciele sklepów i Gwardia Narodowa strzelali do szabrowników, ci z kolei strzelali do swoich koleśki po fachu, a do tego dokładali się inni – zabójcy, którzy wykorzystując chaos i niepokoje społeczne, załatwiali zadawnione porachunki, niemające nic wspólnego z obecnym wybuchem frustracji i uczuć znajdujących swój wyraz na ulicach.

Dwa dni wcześniej, z siłą trzęsienia ziemi, wybuchły skrywane, chociaż od dawna wrzące podziały rasowe, społeczne i ekonomiczne. Proces czterech policjantów z Los Angeles oskarżonych o brutalne pobicie po zażartym pościgu czarnego motocyklisty zakończył się wyrokiem uniewinniającym. Odczytanie werdyktu sędziów przysięgłych w sali rozpraw położonego siedemdziesiąt kilometrów za miastem sądu, do którego przeniesiono proces, od razu wywołało oddźwięk w południowym Los Angeles. Na rogach ulic zbierały się grupki rozwścieczonych ludzi potępiających jawną niesprawiedliwość. Wkrótce doszło do wybuchu przemocy. Jak zawsze czujne środki masowego przekazu wzbily się w powietrze i z lotu ptaka nadawały informacje do wszystkich domów w mieście, a potem na cały świat.

Policja ocknęła się z ręką w nocniku. W momencie ogłaszania wyroku naczelnik, stojąc przed Parker Center – siedzibą Komendy Głównej Policji Los Angeles – wygłaszał akurat przemówienie polityczne. Jego zastępców też nie

było na stanowiskach pracy. W rezultacie nikt natychmiast nie objął dowodzenia, a co gorsza, nie zarządził interwencji. Policja jak jeden mąż zrejterowała, a na ekranach telewizorów, niczym pożar, rozprzestrzeniały się obrazy niepohamowanej przemocy. Wkrótce miasto, nad którym nikt nie panował, stanęło w ogniu.

Dwa dni później, nocą, nadal wszędzie unosił się gryzący swąd palonej gumy i puszczonych z dymem marzeń. Płomienie tysiąca ognisk odbijały się na ciemnym niebie niczym tańczący diabeł. Za wozem patrolowym bez przerwy rozbrzmiewały wystrzały z broni palnej i wściekłe okrzyki. Ale czteroosobowa załoga radiowożu, kod wywoławczy 6-King-16, nie reagowała na takie rzeczy. Zatrzymywała się tylko tam, gdzie doszło do morderstwa.

Był piątek, pierwszy maja. Straż B, jednostka wyznaczona do służby w sytuacjach kryzysowych na nocnej zmianie, pracowała od godziny osiemnastej do szóstej rano. Miejsca z tyłu zajęli Bosch i Edgar, a z przodu funkcjonariusze Robleto i Delwyn, który, siedząc obok kierowcy, trzymał na kolanach strzelbę pod takim kątem, by lufa wystawała przez otwarte okno.

W żółwym tempie jechali do zwłok znalezionych w zaułku odchodzącym od Crenshaw Boulevard. Zgłoszenie przekazała do kryzysowego centrum łączności kalifornijska Gwardia Narodowa, którą rozlokowano w mieście na czas stanu wyjątkowego. Była dopiero dziesiąta trzydzieści, a telefony już się urywały. Od rozpoczęcia zmiany King-16 przyjął już jedno wezwanie w sprawie morderstwa – zastrzelono szabrownika na progu dyskontu obuwniczego. Strzelał właściciel interesu.

Ponieważ miejsce zbrodni znajdowało się w obrębie sklepu, Bosch i Edgar mogli pracować we względnie

bezpiecznych warunkach – na chodniku przed wejściem stanęli Robledo i Delwyn, w pełnym rynsztunku do tłumienia rozruchów i ze strzelbami w garści. Dzięki temu detektywi mieli czas na zebranie dowodów rzeczowych, wykonanie szkiców miejsca zbrodni oraz zrobienie zdjęć. Spisali zeznanie właściciela, obejrzeni też nagranie z monitoringu. Kamera zarejestrowała, jak szabrownik wali w szklane drzwi sklepu aluminiowym kijem do softballu. Następnie włamywacz przecisnął się przez wybity nierówny otwór i natychmiast zarobił dwie kulki od właściciela, który ukrył się pod ladą z kasą i czekał.

Biuro koronera dostawało więcej wezwań do zabójstw, niż było w stanie obsłużyć, dlatego zwłoki zabrali ze sklepu ratownicy medyczni i przewieźli do miejskiego Centrum Medycznego przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Miały tam pozostać do czasu, gdy – jeśli w ogóle – zapanuje spokój albo kiedy koroner upora się z nawałem pracy.

Jeśli chodzi o strzelającego, Bosch i Edgar nie dokonali aresztowania. Później biuro prokuratora okręgowego oceni, czy działał w obronie własnej, czy też zaczął się, żeby zabić.

Musieli tak postąpić, chociaż nie było to zgodne z procedurą. Panujący chaos powodował, że mieli niezwykle proste zadanie: zabezpieczyć dowody rzeczowe, jak najszybciej przeprowadzić dokumentację miejsca zbrodni oraz zabrać denata.

Wkroczyć i wycofać się. Byle bezpiecznie. Czas na prawdziwe śledztwo przyjdzie później. Może.

Jadąc Crenshaw Boulevard na południe, od czasu do czasu mijali grupki przeważnie młodych ludzi, którzy albo gromadzili się na rogach ulic, albo bandami wałęsali się po okolicy. Przy Crenshaw i Slauson ubrani w charakterystyczne niebieskie barwy gangu Cripsów

gówniarze wygwizdali radiowóz pędzący bez włączonej syreny i błyskającego koguta. Poleciały butelki i kamienie, ale wóz mknął tak szybko, że pociski spadły za nim, nie wyrządzając żadnych szkód.

– Nie bójcie nic, pojeby! Jeszcze tu wrócimy!

To Robleto wyrwał się z tym tekstem. Bosch musiał założyć, że tamten tylko strugał chojraka. Groźba młodego posterunkowego była warta tyle samo co mizerna reakcja policji po tym, jak w środę po południu w telewizji na żywo odczytano sentencję wyroków.

Siedzący za kierownicą Robleto nieco zwolnił, zbliżając się do blokady złożonej z pojazdów i żołnierzy Gwardii Narodowej. Strategia opracowana po przybyciu gwardii poprzedniego dnia nakazywała odzyskać kontrolę nad głównymi skrzyżowaniami w południowym Los Angeles, a następnie przesuwać się ku obrzeżom i w końcu zlikwidować wszystkie ogniska zamieszek. Radiowóz znajdował się niecałe półtora kilometra od jednego z najważniejszych skrzyżowań, tego przy Crenshaw i Florence – po jego obu stronach, na odcinku kilku przecznic, rozstawili się już gwardziści wraz z pojazdami. Podjeżdżając do barykady przy Sześćdziesiątej Drugiej, Robleto opuścił szybę po swojej stronie.

Do radiowozu podszedł gwardzista z dystynkcjami sierżanta i schylił się, by obejrzeć pasażerów samochodu.

– Sierżant Burstin z San Luis Obispo – przedstawił się.
– Mogę wam jakoś pomóc, chłopaki?

– Wydział zabójstw – odparł Robleto, wskazując kciukiem siedzących z tyłu Boscha i Edgara.

Burstin wyprostował się i machnął ręką na znak, żeby oczyścić im drogę i ich przepuścić.

– No dobra – powiedział. – Ona leży w zaułku po

wschodniej stronie między Sześćdziesiątą Szóstą a Sześćdziesiątą Siódmą. Dawajcie tu, moi chłopcy was zaprowadzą. Otoczmy was ciasnym kręgiem i będziemy stale obserwować dachy. Mamy niepotwierdzone doniesienia o snajperze walącym do ludzi w tej dzielnicy.

Robleto podniósł szybę i przejechał za barykadę.

– Moi chłopcy – powiedział, przedrzeźniając Burstina.
– W świecie realnym gość jak nic jest nauczycielem albo co. Słyszałem, że ci faceci, których tu ściągnęli, nie są nawet z Los Angeles. Zwieźli ich z całego stanu, tylko nie z LA. Pewnie nie znaleźli na planie miasta parku Leimerta.

– Chłopie, dwa lata temu też byś go nie znalazł – dociął mu Delwyn.

– No i co z tego? Facio nie ma bladego pojęcia o tym mieście, a teraz co, przejął tu dowodzenie? Pierdolony niedzielny wojownik. Ja tylko twierdzę, że nie potrzeba nam tu tej zbieraniny. Psują nam opinię. Wychodzi na to, że sami nie dawaliśmy sobie rady i musieliśmy ściągnąć zawodowców z jebanego San Luis Obispo.

Edgar odchrząknął.

– Mam dla ciebie nowiny – odezwał się z tylnego siedzenia. – Myśmy naprawdę nie dawali rady, a nie możemy już wyglądać gorzej, niż wypadliśmy w środę w nocy. Chłopie, wszyscy siedzieliśmy na dupach, nie przejmując się tym, że miasto płonie. Oglądasz czasem ten szajs w telewizji? To zobaczysz tam wszystko, tylko nie nas, jak wychodzimy na ulicę, skopać parę tyłków. Więc nie miej pretensji do nauczycieli z Bispo, stary. Sami jesteście sobie winni.

– No i co z tego? – powtórzył Robleto.

– Z boku radiowozu jest wypisane „Bronić i służyć” – dorzucił Edgar. – I ani jedno, ani drugie też nam się nie udaje.

Bosch milczał, ale nie dlatego, że się nie zgadzał z partnerem. Policja na własne życzenie postawiła się w kłopotliwym położeniu, nieudolnie reagując na początkowy wybuch przemocy. Jednak Harry nie o tym myślał. W pamięć zapadły mu słowa sierżanta o tym, że ofiarą jest kobieta. Po raz pierwszy ktoś ujawnił ten fakt, a z tego, co wiedział, wśród ofiar zabójstw, jak dotąd, nie było ani jednej kobiety. Nie znaczyło to wcale, że nie brały udziału w zamieszkach, które ogarnęły miasto, wręcz przeciwnie. W dziedzinach szabru i podkładania ognia panuje równouprawnienie. Bosch widział kobiety zajmujące się jednym i drugim. Poprzedniej nocy uczestniczył w tłumieniu rozruchów na Hollywood Boulevard, gdzie obserwował, jak rozkradają magazyn Frederick's – słynny sklep z damską bielizną. Połowę rabusiów stanowiły kobiety.

Jednakże słowa sierżanta skłoniły go do zastanowienia. Jakaś kobieta zanurzyła się w ten chaos i przypląciła to życiem.

Robleto, przejechawszy przez wyrwę w barykadzie, nadal kierował się na południe. Cztery ulice przed nimi jakiś żołnierz wymachiwał latarką, celując w przesmyk między dwoma z szeregu sklepów stojących po wschodniej stronie ulicy.

Pomijając żołnierzy rozstawionych co dwadzieścia pięć metrów, Crenshaw Boulevard na tym odcinku był wyludniony. Ciemność i bezruch sprawiały dość niesamowite wrażenie. Światła we wszystkich sklepach po obu stronach ulicy były pogaszone. Kilka z nich rozkradziono albo podpalono. Inne jakimś cudem ostały się nietknięte. A jeszcze inne miały zabite deskami witryny od frontu, z wymalowanymi sprejem napisami „Czarny właściciel”, w charakterze mizernej ochrony przed tłuszczą.

Wylot zaułka znajdował się pomiędzy splądrowanym sklepem o nazwie Felgi Marzeń, sprzedającym koła i opony, a doszczętnie spalonym komisem ze sprzętem AGD pod szyldem Pierwsza Klasa Z Drugiej Ręki. Spalony budynek otoczono żółtą taśmą, a inspektorzy miejsca wywiesili czerwoną tablicę na znak, że nie nadaje się on do zamieszkania. Bosch domyślił się, że ta okolica ucierpiała na samym początku zamieszek. Znajdowali się jakieś dwadzieścia przecznic od skrzyżowania Florence i Normandie – miejsca, gdzie doszło do pierwszych aktów przemocy, gdzie ludzi wyciągano z samochodów osobowych i ciężarówek i bito, a cały świat obserwował to z góry.

Gwardzista z latarką ruszył przed 6-K-16, pilotując radiowóz w głąb zaułka. Dziesięć metrów od wylotu zatrzymał się i podniósł zaciśniętą w pięść rękę, jakby wypuścili się na rekonesans za linie wroga. Czas wysiadać. Edgar grzbietem dłoni trzepnął Boscha w ramię.

– Pamiętaj, Harry, nie włącz na mnie. I nie waż się podchodzić bliżej niż półtora metra.

Tym żartem chciał rozładować sytuację. Z czwórki policjantów w aucie tylko Bosch był biały. I jako taki prawdopodobnie zostałby pierwszym celem snajpera. Albo, skoro już o tym mowa, każdego innego zabójcy.

– Jasne – odparł Bosch.

Edgar znów szturchnął go w ramię.

– I włóż ten swój kapelusz.

Bosch sięgnął w dół i z podłogi samochodu podniósł biały hełm bojowy, który wydano mu podczas odprawy. Rozkaz brzmiał: nie zdejmować go na służbie ani na chwilę. Zdaniem Boscha błyszczący biały plastik bardziej niż cokolwiek wystawiał ich na cel.

Musiał poczekać z Edgarem, aż Robleto i Delwyn

wysiadą i otworzą im tylne drzwi radiowozu. W końcu wyszedł w noc. Niechętnie włożył hełm, jednak nie zapiał sprzączki pod brodą. Miał ochotę zapalić, lecz czas naglił, a poza tym w paczce, którą nosił w lewej kieszeni koszuli munduru, został mu ostatni papieros. Musiał go zachować na potem, zwłaszcza że nie miał pojęcia, gdzie i kiedy uda mu się zrobić nowy zapas.

Rozejrzył się. Nie zobaczył zwłok. W zaułku zalegały stare i nowe gruzy. Pod ścianą komisju Pierwsza Klasa Z Drugiej Ręki stały popsute sprzęty AGD, których naprawa najwyraźniej się nie opłacała. Wszędzie wałały się śmieci, a w wyniku pożaru zawałiła się część okapu dachu.

– Gdzie ona jest? – zapytał Bosch.

– Tutaj – odparł gwardzista. – Pod ścianą.

Zaułek oświetlały jedynie reflektory radiowozu oraz latarka gwardzisty. Sprzęt AGD i inne rupiecie rzucały cienie na ściany i ziemię. Bosch zapalił swoją latarkę Mag-Lite i skierował światło tam, gdzie wskazywał gwardzista. Ścianę komisju ze sprzętem AGD pokrywały graffiti gangu. Nazwiska, upamiętnianie poległych, groźby – ściana stanowiła tablicę informacyjną lokalnego odłamu Cripsów, Rolling 60's.

Idąc trzy kroki za gwardzistą, Bosch wkrótce zobaczył denatkę. Drobną kobietą leżała na boku pod ścianą, kiepsko widoczna w cieniu przeżartej rdzą pralki automatycznej.

Zanim się do niej zbliżył, najpierw poświecił latarką po ziemi dookoła. Niegdyś zaułek był brukowany, teraz jednak podłoże stanowił spekany beton, ziemia i żwir. Nie zauważył odcisków stóp ani śladów krwi. Powoli ruszył do przodu i przykucnął. Oparłszy na ramieniu mieszczący sześć grubych baterii ciężki korpus latarki, przesunął snop światła po ciele. Na podstawie wieloletniego doświadczenia w

ogłędzinach zwłok ocenił, że kobieta nie żyła od co najmniej dwunastu, może nawet dwudziestu czterech godzin. Ostro zgięte w kolanach nogi dowodziły, że jest to rezultat stężenia pośmiertnego albo wskazówka, że tuż przed śmiercią denatka klęczała. Widoczne fragmenty skóry na ramionach i szyi były szarawe, z ciemnymi plamami z zakrzepłej krwi. Dłonie miała niemal czarne, a w powietrzu unosił się już odór zgnilizny.

Twarz kobiety w dużej mierze przesłaniały potargane włosy. Zlepiały je strupy krwi – zarówno z tyłu głowy, jak i na grubym paśmie, prawie całkowicie zasłaniającym twarz. Bosch oświetlił ścianę nad zwłokami i ujrzał ślady po rozbryzganej i spływającej krwi, świadczące o tym, że właśnie tutaj dokonano zabójstwa, a nie tylko porzucono ciało.

Wyjął z kieszeni ołówek, wyciągnął rękę i odgarnął nim włosy z twarzy ofiary. Wokół prawego oczodołu zobaczył czarne kropki z prochu po wystrzale, a na miejscu gałki ocznej widniała rana wlotowa. Strzał padł z odległości nie większej niż kilka centymetrów. Z przodu i w gruncie rzeczy z przyłożenia. Bosch schował ołówek do kieszeni, nachylił się bardziej i poświecił za głowę kobiety. Wielka, poszarpana rana wylotowa świadczyła o tym, że śmierć była natychmiastowa, bez dwóch zdań.

– Kurde balans, czy ona jest biała?!

To Edgar wyraził swoje zaskoczenie. Stanął za Boschem i zaglądał mu przez ramię niczym sędzia baseballu przyuczajony za plecami łapacza.

– Na to wygląda – odparł Bosch.

Teraz przesuwiał światło latarki po ciele ofiary.

– Na miłość boską, co biała dziewczyna robiła w tej okolicy?

Bosch nie odpowiedział. Zauważył coś ukrytego pod jej prawą pachą. Odłożył latarkę, żeby włożyć rękawiczki.

– Poświęć na jej klatkę piersiową – polecił Edgarowi.

Włożywszy rękawiczki, znów się pochylił nad ciałem. Denatka leżała na lewym boku; spoczywająca w poprzek piersi prawa ręka zakrywała zwisający z jej szyi przedmiot. Bosch wyciągnął go delikatnie.

Była to jasnopomarańczowa przepustka prasowa wystawiona przez policję Los Angeles. Bosch naoglądał ich się przez lata. Ta wyglądała na nową. Laminowana koszulka wciąż była czysta i bez zadrapań. Fotografia w stylu zdjęć policyjnych przedstawiała jasnowłosą kobietę. Poniżej widniało nazwisko oraz firma, dla której pracowała:

Anneke Jespersen
Berlingske Tidende

– Była z prasy zagranicznej – oznajmił Bosch. – Anneke Jespersen.

– Skąd? – zapytał Edgar.

– Nie wiem. Chyba z Niemiec. Tu jest napisane Berlin... Berlincośćam. Nie mam pojęcia, jak to się wymawia.

– Po cholere przysyłali kogoś aż z Niemiec w związku z czymś takim? To już nie mają tam własnych kłopotów?

– Nie jestem pewny, czy to Niemka. Nie znam się na tym.

Bosch przestał słuchać paplaniny Edgara, przyglądając się uważnie zdjęciu na przepustce prasowej. Nawet policyjna fotka nie odarła tej kobiety z atrakcyjności. Poważna mina, brak makijażu, profesjonalny wygląd, zebrane za uszy włosy, cera tak blada, że niemal przezroczysta. Jej oczy były pełne rezerwy. Tak jak wzrok znanych Boschowi gliniarzy i żołnierzy, którzy za dużo naoglądali się w zbyt

młodym wieku.

Odwrócił przepustkę. Na jego wyczucie była prawdziwa. Wiedział, że przepustki prasowe należy odnawiać co rok i każdy przedstawiciel środków masowego przekazu, który chciał się dostać na policyjne briefingi albo przejść przez kontrolę na miejscu zbrodni, musiał posiadać nalepkę z aktualnym terminem ważności. Ten dokument miał nalepkę z roku 1992. Oznaczało to, że denatka zdobyła ją w ciągu ostatnich stu dwudziestu dni, lecz sądząc z niemal dziewiczego stanu przepustki, Bosch uważał, że stało się to raczej niedawno.

Wrócił do oględzin zwłok. Ofiara miała na sobie dżinsy, białą koszulę i kamizelkę – taką do noszenia sprzętu, z mnóstwem wypchanych kieszeni. To podsunęło mu myśl, że zabita była fotoreporterem. Przy ciele ani nigdzie w pobliżu nie znaleziono jednak aparatów. Widocznie ktoś je zabrał, może nawet stanowiły motyw zabójstwa. Większość fotoreporterów, których Bosch widział, nosiła po kilka najwyższej klasy aparatów wraz z osprzętem.

Wyciągnął rękę i rozpiął jedną z kieszeni na piersi kamizelki. Normalnie poprosiłby o to śledczego z biura koronera, ponieważ zgodnie z jurysdykcją zwłoki należały do okręgowego Zakładu Medycyny Sądowej. Tyle że nie miał pojęcia, czy ktoś od koronera w ogóle pojawi się na miejscu zbrodni, a nie zamierzał czekać, żeby się o tym przekonać.

W kieszeni znajdowały się cztery czarne tulejki na błonę fotograficzną. Nie wiedział, czy te klisze zostały naświetlone, czy są nieużywane. Zapinając guzik kieszeni, przy okazji wyczuł pod spodem twardą powierzchnię. Wiedział, że stężenie pośmiertne ustępuje w ciągu doby, a ciało jest potem miękkie i daje się poruszać. Pociągnął kamizelkę i

uderzył w nią pięścią na wysokości piersi. Była twarda, co potwierdził także głuchy odgłos. Denatka nosiła kamizelkę kuloodporną.

– Hej, popatrz na czarną listę – rzucił Edgar.

Bosch oderwał się od zwłok. Edgar celował latarką w ścianę nad nim. Dokładnie nad denatką widniało graffiti: liczba 187*, czyli czarna lista – spis nazwisk niektórych bandziorów, którzy polegli w ulicznych walkach. Ksywy takie jak Ken Dog, G-Dog, OG Nasty czy Neckbone. Miejsce zbrodni leżało na terytorium Rolling 60's – odłamu potężnego gangu Cripsów, który prowadził nieustającą wojnę z innym odłamek tego samego gangu, 7-Treys.

Przeważająca część społeczeństwa odnosiła wrażenie, że wojny gangów, szalejące w prawie całym południowym Los Angeles i noc w noc przynoszące kolejne ofiary śmiertelne, sprowadzały się do walki Bloodsów z Cripsami o to, kto podporządkuje sobie ulice. Tak naprawdę jednak najbardziej brutalna była rywalizacja między odłami tego samego gangu i to ona pociągała za sobą najwięcej zabójstw. A szczyt tej listy zajmowali Rolling 60's i 7-Treys. Obie te frakcje Cripsów działały na zasadzie zabijania konkurencji bez ostrzeżenia, a liczbę ofiar na bieżąco podawano na okolicznych graffiti. Nekrologi poległych upamiętniały ziomali, którzy stracili życie w tej niekończącej się wojnie, a nazwiska pod nagłówkiem 187 tworzyły tak zwaną czarną listę – spis zabójstw.

– Wygląda na to, że mamy tu Królową Śnieżkę i siedmiu-Treyów od Cripsów – dodał Edgar.

* Paragraf 187 kodeksu karnego stanu Kalifornia definiuje pojęcie morderstwa, stąd w żargonie gangsterów liczba 187 uchodzi za synonim mordu.

Bosch z irytacją pokręcił głową. W mieście zapanował kompletny obłęd, czego rezultat mieli tu przed oczami – kobietę, na której wykonano egzekucję, postawiwszy ją pod ścianą – a jego partner, jak widać, nie był w stanie podejść do tego poważnie.

Edgar chyba prawidłowo odczytał mowę ciała Boscha.

– Tylko żartowałem, Harry – rzucił szybko. – Rozchmurz się. Trzeba nam tu trochę wisielczego humoru.

– Niech ci będzie – odparł Bosch. – Ja się rozchmurzę, a tymczasem ty zamelduj przez radio, co tu mamy, wbij im do głowy, że chodzi o kogoś z zamiejscowej prasy, i upewnij się, czy przyślą nam pełną ekipę. A jeśli nie pełną, to chociaż fotografa i jakieś oświetlenie. Przekaż im, że tym razem naprawdę potrzebujemy i czasu, i pomocy.

– Dlaczego? Bo jest biała?

Bosch nie śpieszył się z odpowiedzią. Edgar nie powinien się popisywać tak bezmyślną uwagą. Ale chciał się odgryźć za to, że Bosch nie docenił jego żartu o Królowie Śnieżce.

– Nie, nie dlatego, że jest biała – odparł w końcu spokojnie. – Dlatego, że nie wybrała się tu na szaber, nie należała do gangu, a poza tym niech sobie wbijają do łbów, że wszystkie media upomną się o kogoś ze swoich i rzucają się na to jak sępy. Jasne? Dotarło?

– Dotarło.

– No i dobrze.

Edgar wrócił do samochodu, żeby skorzystać z radionadajnika, a Bosch z powrotem zajął się miejscem zbrodni. Przede wszystkim wytyczył miejsce do pracy. Kazał kilku gwardzistom cofnąć się w głąb zaułka, dzięki czemu stworzył wolną strefę na długości siedmiu metrów po obu stronach zwłok. Z trzeciej i z czwartej strony teren ograniczały ściana komisju ze sprzętem AGD oraz ściana

sklepu oponiarskiego.

Przy okazji odgradzania terenu zauważył, że zaułek przecinał willową ulicę biegnącą równolegle do Crenshaw na tyłach stojących przy niej sklepów. Nie obowiązywało jednolite ogrodzenie podwórek wychodzących na zaułek. Jedne domy chroniły betonowe mury, inne drewniane parkany albo druciane siatki.

Bosch wiedział, że w idealnych warunkach przeszukałby wszystkie te podwórka i zapukał do wszystkich drzwi, teraz jednak musieli odłożyć to na później, albo i na święty nigdy. Chwilowo musiał się ograniczyć do miejsca zbrodni. Jeśli uda mu się przepytać okolicznych mieszkańców, uzna, że miał fart.

Zauważył, że Robleto i Delwyn ze strzelbami w garści zajęli pozycje u wylotu zaułka. Stojąc obok siebie, rozmawiali – jak nic na coś narzekali. W czasach, gdy Bosch służył w Wietnamie, takie coś nazywali wyprzedażą dla snajpera – dwie sztuki za cenę jednej.

Na końcu zaułka stało ośmiu gwardzistów. Bosch zwrócił uwagę, że u wylotu po drugiej stronie zbiera się coraz większa grupa gapiów. Ruchem ręki przywołał gwardzistę, który ich tu zaprowadził.

– Jak się nazywacie, żołnierzu?

– Drummond, ale wszyscy wołają mnie Dobosz.

– W porządku, Dobosz, ja jestem detektyw Bosch. Powiedzcie mi, kto ją znalazł.

– Zwłoki? Dowler. Cofnął się tutaj, żeby się odlać, i wtedy ją zobaczył. Powiedział, że najpierw ją wyczuł. Znał ten zapach.

– Gdzie on jest teraz?

– Zdaje się, że na posterunku przy południowej barykadzie.

– Muszę z nim porozmawiać. Ściągniecie mi go?

– Tak jest.

Drummond ruszył w kierunku wylotu zaułka.

– Zaczekajcie, Dobosz, jeszcze nie skończyłem.

Tamten się odwrócił.

– Kiedy wysłano was na to miejsce?

– Jesteśmy tu od osiemnastej, detektywie.

– Czyli że od tamtej pory panujecie nad okolicą? I tym zaułkiem?

– Niezupełnie. Wczoraj wieczorem zaczęliśmy przy rogu Crenshaw i Florence i przesuwaliśmy się na wschód od Florence i na północ od Crenshaw. Ulica po ulicy.

– A kiedy dotarliście do tego zaułka?

– Nie wiem dokładnie. Myślę, że obstawiliśmy go dzisiaj o świcie.

– Jak już szabrownicy i podpalacze wynieśli się z najbliższej okolicy?

– Tak jest. Z tego, co słyszałem, tutaj rozrabiali pierwszej nocy.

– W porządku, Dobosz, ostatnia sprawa. Potrzebujemy więcej światła. Możecie nam tu ściągnąć jeden z tych waszych wozów, ten ze światłami na dachu?

– Te wozy to humvee, detektywie.

– Jak zwał, tak zwał. Dajcie tu jeden z tamtego końca zaułka. Przejdźcie obok tych ludzi i wycelujcie światła dokładnie na miejsce zbrodni. Rozumiemy się?

– Tak jest.

Bosch wskazał w stronę przeciwną do tej, gdzie stał radiowóz.

– Świetnie. Chcę, żeby ich światła się skrzyżowały, jasne? Chyba niczego lepszego nie wykombinujemy.

– Tak jest.

Gwardzista oddalił się truchtem.

– Hej, Doboszu!

Drummond znów się odwrócił i przytruchtał z powrotem.

– Słucham.

Bosch zniżył głos do szeptu.

– Wszyscy wasi ludzie się na mnie gapią. Chyba powinni stać odwrócenie w drugą stronę i pilnować ulicy?

Drummond cofnął się o krok i zakręcił palcem nad głową.

– Ej, tam! W tył zwrot, pilnować ulicy! Jesteśmy w pracy. Macie stać na straży.

Wskazał palcem tłum gapiów zebranych na końcu zaułka.

– I żeby żaden z nich mi tu nie wlaź!

Gwardziści wykonali rozkaz, a Drummond wyszedł z zaułka, przywołać przez radio Dowlera i ściągnąć wóz z baterią świateł na dachu.

Na biodrze Boscha zabręczał pager. Detektyw sięgnął do paska i wyrwał urządzenie z etui. Widząc na wyświetlaczu numer stanowiska dowodzenia, wiedział, że razem z Edgarem za chwilę zostaną wysłani gdzie indziej. I chociaż nawet jeszcze tu nie zaczęli, już chciano ich stąd zabrać. Bosch nie miał na to najmniejszej ochoty. Schował więc pager do etui.

Podszedł do pierwszej siatki, zaczynającej się przy tylnym rogu komisju ze sprzętem AGD. Drewniany parkan był za wysoki, nie mógł zajrzeć na drugą stronę. Zauważył jednak, że deski niedawno odmalowano. Ani śladu graffiti, nawet po stronie zaułka. Zwróciło to jego uwagę, ponieważ świadczyło o tym, że po drugiej stronie jest właściciel dbający o swój dom na tyle, by zmywać graffiti. Może była to osoba z gatunku tych, co to same stają na straży, więc mogła coś usłyszeć, a nawet zobaczyć.

Przeszedł na drugą stronę alejki i przykucnął na

najdalszym skraju miejsca zbrodni. Wyglądał jak bokser w narożniku, czekający na wznowienie walki. Omiótł latarką podłoże z popękanego betonu i ziemi. Padające pod kątem światło odbijało się od niezliczonych powierzchni, tworząc niezwykle widok. Wkrótce mignęło mu coś błyszczącego, więc zatrzymał światło na tym czymś. Przybliżył się i znalazł leżącą na żwirze mosiężną łuskę.

Kucnął i uważniej przyjrzał się znalezisku, nie chcąc go ruszać. Poświeciwszy latarką z bliska, zobaczył, że jest mosiężna łuska kaliber 9 milimetrów, z wytłoczonym na płaskiej podstawie charakterystycznym logo Remingtona. Iglica zostawiła wgłębienie na spłonce. Bosch zwrócił uwagę, że łuska leżała na wierzchu warstwy żwiru. Nikt jej nie nadepnął ani nie kopnął, chociaż jego zdaniem zaulek należał do bardzo uczęszczanych. Oznaczało to, że łuska leżała tam od niedawna.

Rozglądał się za czymś, czym mógłby zaznaczyć położenie łuski, kiedy na miejsce zbrodni wrócił Edgar. Taszczył skrzynkę z narzędziami. Powiadomił Boscha, że nie dostaną żadnej pomocy.

– Znalazłeś coś, Harry?

– Łuskę remingtona, dziewięć milimetrów. Całkiem świeża.

– No to przynajmniej mamy coś przydatnego.

– Może. Gadałeś ze stanowiskiem dowodzenia?

Edgar odstawił skrzynkę z narzędziami. Ważyła swoje. Wrzucił do niej cały sprzęt, jaki w pośpiechu zdołał zebrać na posterunku Hollywood, kiedy dowiedzieli się, że w terenie nie mają co liczyć na pomoc ze strony techników.

– Ehe. Dodzwoniłem się do nich, ale twierdzą, że nic się nie da zrobić. Wszyscy są zajęci gdzie indziej. Zostaliśmy z tym pasztetem sami, brachu.